

SZCZEPAN TWARDOCH

Anna

Jest wiosna, świeża, lecz obfita już zieleń pokrywa drzewa, tak niedawno jeszcze patrzące nagimi konarami w zimowe niebo. Przez las biegnie niewielka ścieżka, kobiecymi stopami wydeptana w rzadkim podszyciu.

Dróżką wolno idzie Anna. Bez wysiłku niesie wielki kosz bielizny. Nie martwi jej pranie. Gdy słońce tak mocno grzeje to sama przyjemność, można się poplaskać w rzece, jakby się jeszcze było dzieckiem. To chyba najcieplejszy koniec maja, jaki miał miejsce w ciągu jej krótkiego, szesnastoletniego życia! Pranie w styczniu to przykrość, lecz teraz, czym się martwić? Anna cieszy się więc miękkim dywanem z trawy, który ścieli się pod jej bosymi stopami. Z rozkoszą wyniosła na strych zimowe trzewiki, by znowu cieszyć się dotykiem cieplej ziemi. Rozluźnia gorset swojej codziennej, szarej sukienki i zsuwa czepek. Długie, rude włosy w pysznych kędziorach opadają na ramiona, Anna potrząsa głową, rozrzucając loki. Od kiedy wyszła za męża, musi nosić czepek, a tak pięknie złocą się jej włosy w słońcu!

Anna ma szesnaście lat, jest już dorosłą kobietą. Nie jest wysoka, lecz ma piękne, małe stópki, zgrabne nogi i szerokie biodra. Duże piersi swobodnie kołyszą się pod koszulą. Delikatne piegi dodają uroku jej ślicznej buzi – nikt w całych Pilchowicach nie może oprzeć się urokowi jej zielonych oczu, otoczonych długimi i gęstymi rzęsami. Zazdrosne dziewczęta mówią o Annie: ta ryszawo heksa [ta ruda wiedźma] – ale to dla jej ognistych włosów przyjeżdżali konno kawalerowie nawet z Gliwic! Żaden nie spojrzął na inne dziewczyny w Pilchowicach, te nieśmiałe, przestraszone, z szaropłowymi warkoczykami. Zresztą one bały się mężczyzn, uciekały, płonęły rumieńcem, gdy tylko który się odezwał – a Anna mężczyzn lubiła i zniewalała ich z łatwością. Inne dziewczęta uważały śmiałość za oznakę rozwiązłości, jednak żaden kawaler nie uzyskał od niej niczego! Bardziej odważni próbowali skraść buziaka i odchodzili potem zmieszani, a kpiący śmiech dziewczyny odbierał im ochotę na dalsze amory.

Aż w końcu znalazł się jeden, który zamiast pustych słów przyniósł piękny pierścionek, kupiony podobno aż w Krakowie, przyszedł do domu Anny, padł na kolana przed jej matką i prosił o rękę dziewczyny. Cóż to było za szczęście dla starej kobiety! Jej mąż odumarł je obie, kiedy Anna miała sześć lat i biedna wdowa z trudem gospodarowała na marnych sześciu morgach kiepskiego pola, nie mając nikogo do pomocy. A teraz o rękę jej jedynaczki poprosił sam Franz Pawlas z Bujakowa! Przystojny, bywały w świecie czterdziestolatek, za młodu służył w grenadierach cesarskich, ale przecież nie dlatego stanowił tak dobrą partię. Był najbogatszym gospodarzem w Bujakowie, do tego freibauerem! Miał osiem łąnów żyznej ziemi, kilkunastu parobków, sam się ledwie czasem pługą i kosa chwycił. Prawie pan, nie zwykły bauer! Prosić o rękę dziewczyny zajechał z fasonem, na pięknym, karym ogierze, odziany w surdut z drogiej wełny, którego żaden gliwicki mieszczanin by się nie powstydział. Matka od razu oddała mu córkę, bez chwili wahania. Zaczny ten człowiek na dodatek zdecydował, że po ślubie zamieszkają w Pilchowicach, aby starej wdowy nie pozbawić towarzystwa. I tak się stało. Franz kilka razy w tygodniu jechał konno do Bujakowa, doglądać obejścia, zaś resztę czasu spędzał w domu swej teściowej.

Anna urodziła mężowi syna, który ma już pół roku i teraz został w domu pod opieką mamki. Franz nie lubi, gdy służąca pierze jego ubrania, więc Anna musi robić to sama, ale nie uważa tego za wyjątkowo przykry obowiązek.

Nad rzeką, pod wielkim dębem, jest dobre miejsce. Anna szybko zrzuca wełnianą suknię, żeby jej nie zamoczyć, i zostaje w samej bieliźnie. Mężczyźni o tej porze po lesie nie chodzą, a koszula prawie po kolana, więc gdyby nawet jakaś baba Annę zobaczyła, to wstydu nie będzie. Dziewczyna wyjęła z kosza pierwsze ubrania, siadła na brzegu rzeki, z nogami w wodzie i zaczęła pranie, trąc o trzymane między kolanami waszbret. Woda omywała jej łydki. Zaiste, jest szczęśliwą dziewczyną! Dobry, bogaty mąż, zdrowe dziecko – czegoż więcej chcieć?

Niepotrzebnie stawia sobie to pytanie! Zna przecież odpowiedź na to głupie „czegoż chcieć więcej?”. Matka miała racje – po co prostej dziewczynie czytanie i książki?

Kiedy Anna miała dziesięć lat, koleżanka, córka wiejskiego organisty i nauczyciela nauczyła ją składać litery. Stefka była dla niej jak starsza siostra, do pewnego popołudnia, kiedy to siedziały razem w stodole organisty, zatopione w niemieckim romansie. Anna nie znała dobrze języka, więc czytały razem, a Stefka tłumaczyła niektóre słowa. Leżały przytulone do siebie. Na dłoń, którą Stefka położyła na jej pośladkach, nie zwróciła uwagi. Lecz gdy ręka zawędrowała pod spódnice, dziewczyna zerwała się jak oparzona. Stefa jakoś udobruchała wzburzoną przyjaciółkę i wróciły do lektury. Za chwilę jednak spróbowała pocałunku. Nie napotkała chętnych ust! Anna, bez namysłu, palnęła koleżankę pięścią w twarz. Gdy ze złamanego nosa chlusnęła krew, Stefce odechciało się amorów. Był to niezbyt piękny koniec przyjaźni.

Annie najbardziej żal było książek, których skądinąd mieć nie mogła i parę lat nie czytała wiele, ale po weselu poprosiła swojego majątnego męża o książki. Ten nic nie odpowiedział, zaś z następnej podróży przywiózł młodej, ciężarnej wtedy, żonie kilka tomików z wrocławskich oficyn. I czytała, pochłaniała je jak szalona, głodna lektury. Niemieckie tłumaczenie „Don Quijote”, zabawna historyjka, dramaty Szekspira, tak piękne, sonety różnych autorów, romanse... I z książek dowiedziała się właśnie „czegoż więcej chcieć”.

Jednak nie była głupia. Kiedyś przeczytała o czekoladzie. Czegoż autor nie pisał? Porównanie do ambrozji było jednym z bardziej umiarkowanych! Opis zajął prawie dwa akapity. Anna zapytała wtedy Franza, czy próbował czekolady. Potwierdził. Jednak gdy pytała go o jej smak, powiedział jedynie, że jest słodko-gorzka. Nie mogła zrozumieć, jak coś może być słodkie i gorzkie zarazem, wymieszała więc odrobinę miodu z naparem z piołunu – wyszło obrzydlistwo. Zatem to nie to. Franz z kolejnej swojej podróży do Wrocławia przywiózł Annie odrobinę czekolady. Spróbowała i przestała wierzyć książkom. Smakołyk był dobry, owszem, ale gdzież tu miejsce na takie zachwyty, po których można by się spodziewać, że zemrze się z rozkoszy?

Po tym przykrym doświadczeniu nie przestała czerpać przyjemności z czytania, jednak zrozumiała, że rzeczywistość nie dorasta do książek. Taki las – ot, drzewa, liście, krzaki, zwierzęta. A w książce – poetyckie cuda, zachwyty! Albo miłość... Franz był pełen wigoru, ona sama miała duży temperament, więc obowiązku małżeńskiego dopełniali często i z obopólną satysfakcją. Anna nie podzielała zdania tych kobiet ze wsi, które twierdziły, że nie ma na świecie nic obrzydliwszego niżli spółkowanie. Jednak te kilka chwil uścisków, piersi tarmoszone rękami rozpalonego męża, pocałunki i potem, wiadomo... Było miło. Ale gdzież te uniesienia sugerowane przez pisarzy? Czy drżała ziemia? Czy unosili się w chmurach? Gdzież serca splatające się w jednym rytmie? Jeśli coś się splatało, to na pewno nie serca.

Znała więc odpowiedź na pytanie „czegoż chcieć więcej?”. Jednak wiedziała, że poza zadrukowanymi kartami na pewno tego nie znajdzie. Dlatego wyrzuciła swoje wątpliwości precz.

Koszula już czysta. Anna ścisła waszbret kolanami i zabiera się do prania spodni.

Wtedy słyszy stłumione i niespieszne uderzenia kopyt o miękką ziemię. Odwraca się natychmiast i widzi końskie pięciny. Na wyciągnięcie ręki stoi wielki, kary rumak. Siedząc w

wodzie, dojrzyć może zaledwie nogi, szeroką pierś i pysk konia. Jeźdźca nie widać – tylko jego wysokie, brązowe buty. Zresztą – nie byle jakie buty! Takich nie ma jej mąż, na pewno! Cholewy botfortów kończą się za kolanami, brązowa skóra lśni, obcasy wysokie na dwa cale, zaś ostrogi, niechybnie pozłacane, skrzą się w słońcu. Anna w milczeniu przygląda się tym cudnym, jeździeckim butom. Po chwili oba lekko wysuwają się ze strzemion. Jeździec unosi się w siodle, sprężyste przerzuca prawą nogę nad końskim grzbietem i miękko ląduje na ziemi. Anna stwierdza, że reszta jest nie mniej imponująca niż buty. Jasne spodnie z łosiowej skóry, warte chyba więcej niż wszystkie stroje jej i jej męża, opinają zgrabne nogi. Wąską, kobiecą prawie, talię otacza szeroki pas, przy którym zwiesza się pałasz w pysznej oprawie. Wyżej – tylko haftowana, kremowa kamizelka na jedwabnej koszuli. Może to sam książę, cesarski syn? Któż inny tutaj mógłby nosić takie stroje? Patrzy z nabożeństwem...

– Ile lat masz, panienko? – pyta nieznajomy książę piękną polszczyzną.

A więc nie cesarski syn, pewnie jakiś polski magnat, myśli Anna.

– Szesnoście, prosza Najjaśniejszego Pana. Alech już niewiasta, niy panienska, prosza Najjaśniejszego Pana – odpowiada jak umie najlepiej.

– Jaki ze mnie Najjaśniejszy Pan? Maurycy Czarnecki jestem, herbu Kornic, infamis, banita i wywołaniec, do usług pięknej damy.

Spodobała mu się od razu. Nagie uda pięknie zarysowane, blade i pulchne jak u szlachcianki, zamiast po chłopsku żylaste i opalone. Obfite, duże piersi, tak pięknie kołyszące się pod mokrą koszulą. I burza rudych włosów, tak nieprzyzwoicie rozpuszczonych! Zaiste, spodobała mu się ta śląska nimfa! Wyobrazził sobie zaraz jak mogłyby się te piersi kołysać przy zajęciu zgoła miłszym każdej pannie niżli pranie i postanowił nie zmarnować okazji. Przecież jemu, Maurycemu de Czarnecki, się nie odmawia! Nie na darmo wykosztował się tak bardzo na strój godzien księcia. Nawet hrabianki mdlały na jego widok, a cóż dopiero jakaś śląska, chamska dziewczka. Miał najlepszych nauczycieli. Kawaler de Seingalt zwykł był mawiać, że tylko mężczyźni mogą być arystokratami; kobiety wszystkie są takie same.

Prezent od ojca – toledańska szpada. Wisiała tam ciągle, w pochwie z kozłej skóry, ze złożonymi okuciami, na dwóch powrozach zaczepionych o krzywy gwóźdź, wbity w szerniałe drewno krokwi. Jan nie patrzył na nią. Siedział w starym fotelu, jedynym meblu na całym strychu i wpatrywał się w okienko lukarny. Tylko przez te brudne, oprawne w ołów szybki na poddasze wpadała odrobina światła. Poza fotelem w środku nie było wiele – barłóg ze starego materaca i kilku koców, skrzynia, szpada na kołku. Myślał o wiszącej za jego plecami broni – każdy jej szczegół miał wryty w głowie, jakby wisiała mu przed oczami. Piękna głownia, w stylu colichemarde, z szerokim forte, raptownie zwężającym się do wąskiego i smukłego sztychu. Przez całą długość pociągnięte żebro. I wytrawiony na głowni kartusz z herbem i jednym słowem, Meinetwegen – „z mojego powodu”. To już czterdzieści lat, gdy dostał tę szpadę, na osiemnaste urodziny. Ojciec był bogaty, nie żałował pieniędzy – głownia była z toledańskiej stali, oprawa wiedeńska, jelce i głowica pozłacane, rękojeść pokryta szagrynem i złotym drutem. Całość warta była co najmniej trzydzieści talarów. Gdyby znalazł się kupiec, oczywiście. Ale i w lombardzie u Szmula dostanie za nią z dziesięć. Dziesięć talarów! Kiedy ostatnio widział tyle pieniędzy naraz... Kupi sobie od razu kilka butelek węgryna, dwa bochenki chleba, mięso, ser, dobrą oliwę. Ciasta kupi u Sachera. A może reńskie będzie lepsze?

Nie, nie, nie mógł się pozbyć tej szpady. Nic więcej nie łączyło go już ze światem, którego był częścią. Tylko ta broń, choć nie przypinana do pasa od dekady, przypominała mu ciągle, kim jest.

Jan był głodny. A szpada, przypominając, kłamała. Nie był już tym, kto powinien ją nosić.

Nagle zdecydował. Wstał z fotela, ściągnął broń z gwoźdźca, owinął szmatą i z takim zawiniątkiem pod pachą wyszedł ze swego poddasza. Zszedł cztery piętra po schodach – kamienica była wysoka, wyjrzał najpierw na ulicę przez okno, czy aby gdzieś nie czai się jakiś wierzyciel. Nikogo nie było, nasunął więc na oczy swój podniszczony tricorn i pomaszerował do lombardu. Po dziesięciu minutach był na miejscu. Drzwi bez szyldu były zamknięte, Jan pociągnął sznurek dzwonka. Odsunęła się klapka judasza i w otworze pojawiło się oko i krzaczasta brew. Jan uchylił kapelusza, ukłonił się i uśmiechnął niepewnie. Uchyła kapelusza przed Żydem. Po co więc mu szpada? Szczęknęła zasuwa, drzwi otworzyły się i wszedł.

– Co was sprowadza, łaskawy panie von Ratschek? – zapytał Samuel, zwany też Szmulem.

Nosił się na czarno, skromnie. Miał brodę, pejsy, pełne policzki i perkaty, nieżydowski nos. Jan nie powiedział ani słowa, położył tylko na ladzie swoje zawiniątko. Żyd spojrzał pytająco i rozwinął okrywające broń gałgany. Zastygł, spoglądając na szpadę – nie dotknął jej nawet końcem palca.

– Ja tego przyjąć nie mogę, panie von Ratschek. Ja znam ta szpada. Wyście ją od ojca dostali. I ja was znam, panie von Ratschek, wy nie będziecie mieli nic pieniędzy, żeby ta szpada ode mnie wykupić. A ja nie miałbym serca odebrać rycerzowi broni, panie von Ratschek.

Jan skulił się w sobie i mimowolnie przybrał żalony wyraz twarzy.

– Weźże, Żydzie, szpadę, bom głodny. Daj mi 10 talarów, o więcej nie proszę – powiedział błagalnie.

Szmul zasepił się i jął zakręcać pejsa na palcu. Po chwili sięgnął do ukrytej pod ladą szkatuły i wyjął jedną złotą monetę.

– Panie von Ratschek, ja wam pożyczę jeden talar bez zabezpieczenia, możecie mi oddać za dwadzieścia lat, ale szpady nie wezmę. Wyście są szlachcic. Godziło by mi się od was broń w zastaw brać?

Wyciągnął rękę z talarem.

Jan już-już miał sięgnąć po monetę. Już ręka w kieszeni zadrżała, aby odebrać podarunek, mruknąć słowo podziękowań, wyjść i przez jakiś czas żyć jak człowiek. Nawet przez tydzień, gdyby nie pił za dużo. Odsunąć wszystkie kłopoty o te następne kilka dni, podarować sobie czas, jak przebywający na lotnisku na wsi człowiek czasem darowuje sobie dodatkowy tydzień spokoju, zanim wróci do niecierpiących zwłoki spraw. Nabrałby sił, po drodze do mieszkania wstąpił na targ, kupił jedzenia, przygotowałby sobie w domu piękne śniadanie. Poweselał na krótko. Ile razy już Szmul podawał mu taką monetę, żądając zwrotu za dwadzieścia lat? Obaj doskonale wiedzieli, że Jan siedemdziesiątki nie dożyje... W zasadzie ten żydowski lichwiarz był jego jedynym przyjacielem. Nikomu też innemu Żyd nie dawał bezzwrotnych pożyczek, tylko Janowi. A on dawno już pozbył się skrupułów i przyjmował te zapomogi nie myśląc o honorze.

Już miał sięgnąć po monetę. Samuel uśmiechnął się zachęcająco. I wtedy Jan wybuchnął.

– Nie jestem żebrakiem, parchu jeden! Przyszedłem sprzedać ci zasnę szpadę za jedną trzecią jej wartości, nie wciskaj mi więc jałmużny, sukinsynu! Bierzesz szpadę czy nie? – ryknął.

Szmul nawet nie drgnął, chociaż po raz pierwszy widział wybuch gniewu u pana von Ratschek. Schował dłoń z talarem i zamyślił się. Jan zacisnął pięści, aż zbieleły kostki.

Po chwili Żyd położył na ladzie czysty arkusz papieru, otworzył szkatułę, odliczył trzydzieści cztery talary, ułożył je jeden za drugim na kartce i zwinął całość w zgrabny rulon.

– Jeżeli to ma być sprzedaż, a nie pożyczka pod zastaw, to płacę tyle, ile jest warta – powiedział, zawinął szpadę w szmaty i położył pod ladą.

Jan włożył rulon z talarami do kieszeni surduta, mruknął jakieś podziękowanie, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Gdy dotknął dłonią klamki, usłyszał głos Szmula:

– Panie von Ratschek...

Spojrzał przez ramię na Żyda.

– Ja nikomu nie sprzedam. Gdybyście chcieli ta szpada odkupić, to ona będzie tutaj leżała. A gdyby ona potrzebna była, to możecie przyjść i pożyczyć.

Szlachcic milczał przez chwilę. Żyd nie był idiotą, był lichwiarzem, chyba tylko jego traktował w taki sposób. Wreszcie wykrztusił z siebie:

– Dziękuję, Samuelu. Zaczny z ciebie człowiek.

Żyd machnął ręką, jakby przepraszająco. Ratschek otworzył drzwi. Gdy przestąpił przez próg, rzucony silną ręką kamień trafił go w czoło i Jan upadł bez przytomności na ziemię.

Kary rumak, którego Maurycy zwał Rosinantem, idzie zganaszowany, zebrany galopem. Rytm końskich kroków przyjemnie kołysze – Anna siedzi na przednim łęku siodła, zatopiona w ramionach młodzieńca. Twarz przytula do jego kamizelki, wdychając woń męskich perfum, przyjemnie zmieszana z zapachem końskiego potu i świeżo zżętego siana. Teraz rozumie, jak pachnie opisywana w książkach przygoda.

Kiedy tam, nad Bierawką, podał jej dłoń, po prostu wstała i poszła z nim. Chciała założyć suknię – „kupię piękniejszą”, powiedział. Więc zostawiła wszystko i dała się posadzić w siodle tak, jak stała, w samej koszuli. Wiedziała, że romanse kończą się źle – co tam, niech kończą się jakkolwiek, za to jak pięknie trwają! Za nią został mąż, matka, dziecko, pranie, sukienka, i prawie mila drogi od Pilchowitz.

W rozkołysanym galopie minęli Smolnicę, Ostropę, Wójtową Wieś z akweduktem, doprowadzającym wodę do miasta, i wjechali do Gliwic. Kiedy jechali ulicą od Bramy Raciborskiej do rynku, towarzyszyły im zaintrygowane spojrzenia mieszczan. Maurycy nie zwracał na łyczków uwagi, zaś dla Anny nie istniało nic poza nim. Kiedy kobieta zostawia za sobą dobrego męża, dziecko i matkę, nie musi już przejmować się reputacją.

W pewnym momencie przez szepty i śmiechy przebiło się grube słowo. Kawaler zawrócił zgrabną woltą. Koń skrzesał na bruku skry podkowami, po czym stanął w pełnej paradzie. Maurycy delikatnie postawił Annę, po czym lekko zeskoczył z siodła. Podszedł do wielkiego, rosnącego łyka w rzeźniczym fartuchu, który rzucił obelgę. Rzeźnik spodziewał się bury. Chciał zakpić sobie z paniczyka – przeprosić drwiącym tonem. Stał, ledwie tłumił śmiech i łypał na młodzika, który nie sięgał mu nawet obfitego podbródka, czekał aż ten zażąda przeprosin. Ale Maurycy nie powiedział ani słowa. Zamiast tego, ciągle z miłym uśmiechem na ustach, uderzył mieszczanina kantem dłoni w gardło. Rzeźnik padł na kolana i na próżno próbował zaczerpnąć tchu, a Maurycy, odstąpiwszy na krok, z rozmachem kopnął żartownisia w twarz, samym czubkiem buta. Łyk zwałił się na ziemię, zalany krwią z rozkwaszonego nosa. Zaś kawaler wrócił do swej wybranki.

A ona stoi tam i mogłaby wyglądać żałośnie: w samej koszuli, brudnej i zakurzonej od drogi, z rozpuszczonymi włosami, bosa, trzymając w dłoni końskie wodze. A jednak wygląda pięknie, bo wypełnia ją miłość i duma; oto jej mężczyzna zamknął im gęby i zrobił to dla niej!

I zabrał ją do krawca, Żyda, i wybrał jej piękną suknię, którą Żydowin pospiesznie dopasowywał do jej figury. I wyszła stamtąd umyta, w sukni piękniejszej niż jakakolwiek, której dane jej było chociażby dotykać, w jedwabnych pończoszkach i trzewiczkach z

hiszpańskiej skóry. I wziął ją pod rękę, jak damę, i poszli „Pod Złotą Gęś”, gdzie Maurycy wynajął pokój. I położył ją delikatnie w śnieżnobiałej pościeli. I Anna rozumie już, że to nie książki kłamią, lecz życie.

Noc jest duszna i gorąca. Przez otwarte okno dobiegają ciche, stłumione odgłosy miasta. Maurycy śpi, z twarzą wtuloną w poduszkę, nagi. Anna leży obok, na plecach, wsłuchując się w oddech kochanka i gładząc go po szczupłych plecach i twardych, wąskich pośladkach. Upaja się własnym szczęściem, chociaż wie, że będzie trwało krótko, a potem jej życie zamieni się w pasmo cierpień. Może już rano obudzi się sama? Czy wróci do męża? Wy tłumaczy się jakoś? Franz przyjmie te tłumaczenia, ale potem dowie się i tak – zbyt wielu ich widziało. Lecz ona powie, że Maurycy... nie, nie Maurycy, że „ten łajdak” ją porwał. Franz uwierzy, bo będzie chciał wierzyć i wystarczy mu najmarniejsze usprawiedliwienie, na którym na nowo zbuduje swoją miłość do niej. Na początku będzie wątpił, by po jakimś czasie zapomnieć o wątpliwościach, płonąć tylko słusznym gniewem. Powie, że mu nie uległa – w to Franz również uwierzy.

Ale ona nie zapomni. A na to Franz nie zasłużył.

Wstała więc z łóżka i w bagażach kochanka odnalazła papier i inkaust. Och, dzięki Ci, Boże, żeś pozwolił Annie nauczyć się pisać i czytać! Zapaliła świecę i napisała list do męża. O tym, że umarła. O tym, że powinien ją pogrzebać i zapomnieć. O tym, że nie powinien jej szukać, bo już jej nie odnajdzie. Ta, którą znaleźć może, gdyby poruszył niebo i ziemię, nie jest już jego Anną. Napisała również, że Franz był dobrym mężem, a wszystkiemu winne są słowa i niech znajdzie sobie żonę, która nie umie czytać. Niech ich syn do końca życia sądzi, że jego matka umarła, bo ona nie jest już godna, by brać go na ręce.

Pewien człowiek powiedział, że najlepsze listy miłosne kobieta pisze, gdy zdradza. Zapewne, Czytelniku, chciałbyś więc przeczytać ten list – bo był to list miłości, która zginęła. Jednak, takie listy czytać może jedynie adresat. Nawet, jeśli nigdy nie zostały napisane, bo istnieją tylko tak, jak istnieli najwięksi z kochanków, którzy nie zeszli nigdy z kart książek.

W jukach był również lak, zapieczętowała więc list, włożywszy doń swoją ślubną obrączkę. Trzeba go jeszcze wysłać, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że został napisany. Wróciła do łóża i wtuliła się w swego kochanka, spodziewając się, że rano zostanie sama.

I tak zapewne by się stało, gdyby Maurycy nie obudził się przed świtem. Ujrzał na stole zapieczętowany list i z właściwą sobie bezpretensjonalnością otworzył go i przeczytał.

Niektórych zmienia zupełnie jedno wydarzenie. Przypadek czasem wywraca do góry nogami hierarchię wartości. Bezbożnik staje się bigotem, bo widział autentyczne uwielbienie dla Boga w oczach umierającej matki lub żony. Człowiek pobożny bluźni Bogu, gdy ten odebrał mu ukochaną osobę. Sknera stawia cały swój majątek na jedno rozdanie, aby doświadczyć przez chwilę uczucia zawieszenia nad przepaścią; uczucie okazuje się fascynujące i skąpiec zostaje hazardzistą. Hulaka zostaje mnichem, bo ujrzał Chrystusa. Mnich zostawia klasztorne mury, przypina szpadę i wdziewa perukę, bo przeczytał rewolucyjną książkę. Tak, niektórych ludzi zmienić może jedno wydarzenie.

Maurycy bez wątpienia nie był takim człowiekiem. W jego przypadku trudno mówić o hierarchii wartości, gdyż do tego musi istnieć kilka, różnych od siebie, uporządkowanych elementów. Tymczasem w życiu Maurycyego de Czarniecki istniała jedna wartość: on sam.

W swojej wierze niezłomny był jak krzyżowiec. W obronie samego siebie i swojego powodzenia bez chwili wahania wdarłby się na mury Jerozolimy, jak Gotfrid de Bouillon.

Teraz mógł swoją religię wyznawać swobodnie: miał trzos pełen złota – dość i na rok wystawnego życia. Miał modne i eleganckie stroje. Zjadł wczoraj dobrą kolację i spędził noc

z zaskakująco atrakcyjną i miłośnicie wdzięczną kobietą, o pełnych piersiach i ognistym temperamentem. Tak, w takiej sytuacji Maurycego de Czarnecki stać na wielkoduszność. Nie odjedzie więc, jak zamierzał. Nie zostawi tutaj tej piśmiennej wieśniaczki. No, dobrze, wstając z łóżka przez chwilę z zalem pomyślał, że nie zanurzy już dłoni w tych miedzianych włosach, nie pocałuje tych karminowych warg. Odgonił jednak szybko to uczucie, jako niedojrzałe i sentymentalne; religia, którą Maurycy wyznawał była bezwzględna jak purytanie z „Mayflowera”, nie dopuszczała sentymentów. W końcu idzie tu o pryncypia!

Mimo niezłomności, Maurycy nie lubił faryzeizmu; w końcu duch ważny jest, nie litera. Czyniąc pozorne odstępstwo od doktryny miłości własnej, i pozostając na dłużej z tą dziewczyną, przestrzegał w końcu kardynalnej zasady swojego wyznania – jak mawiają Anglicy, be good to yourself.

W Wiedniu wrze. Tam dzieje się historia, więc Maurycy powinien w tym uczestniczyć; nie daj Bóg, stałoby się tam coś o epokowym znaczeniu, gdy on bawiłby na prowincji. Trzeba więc pojechać do stolicy – a taka towarzyszką znacznie całą wyprawę umili, nocami przyjemnie rozgrzewając ciało i kości, umęczone niedogodnościami kilkugodzinnej podróży. Ponadto, intrygującym jest fakt, iż wieśniaczka ta zdaje się posiadać smak literacki. Nie przez lektury, lecz w sposób szlachetniejszy. Owe śląskie dziewczę, zapewne mimowolnie, zdaje się dostrzegać literaturę w życiu. Oto, co czyni dandysa – umiejętność dostrzeżenia i rozegrania dramaturgii chwili. Dandys przez całe życie jest w teatrze, gdzie każde zachowanie, każdy gest mają swoje znaczenie. I ta Ślązaczka napisała do swojego męża list. Nie jak żona czy gospodyni, napisała list niczym postać z antycznej tragedii lub z szekspirowskiego dramatu. Czyżby znalazł nieoszlifowany diament?

Oczywiście, rola Pigmaliona niezbyt go pociągała, gdyż jedyną osobą, jakiej poświęcał tyle uwagi, co mitologiczny król swojemu posagowi, był on sam, a nie można być Pigmalionem dla samego siebie. Wiedz jednak, Czytelniku, że w czasach, w jakich przyszło żyć Maurycemu, nie znano jeszcze krzyżówek – najlepszego antidotum na towarzyszącą wojażom nudę. Zaś monotonię czeskich krajobrazów, przez jakie przyjdzie im jechać, intelektualna zabawa ze śląską chłopką może urozmaicić, tym samym czyniąc podróż przyjemniejszą.

Anna otworzyła oczy i natychmiast przepeliła ją głupia nadzieja: nie odjechał! Siedzi tutaj, na łóżku, i czeka, aż ona się obudzi! Jednak zaledwie kochanek odwrócił się do niej, zrozumiała, że to tylko odroczenie nieuchronnego; gdyż w jego oczach dostrzegła sympatię, ale nie zobaczyła miłości. Wszelako Anna potrafiła cieszyć się tym, co ma, zapadła się więc w jego szczupłych ramionach.

Jak długo leżał bez przytomności? Otworzył oczy i przede wszystkim ze zdziwieniem stwierdził, że go nie obrabowano. Rulon z pieniędzmi tkwił w kieszeni surduta. Nigdzie natomiast nie było jego kapelusza. Będzie musiał kupić nowy, a tamten tricorn służył mu już tak długo! Pewnie spadł, strącony kamieniem. No tak, kamień! Cóż, do diabła, się stało?

Uniósł się na łokciach i rozejrzył wokoło. Ulica była dziwnie pusta – o tej porze powinno na niej być jeszcze wielu przechodniów, tymczasem nie widać było żywej duszy. Co jeszcze dziwniejsze, pustce i ciszy na tej ulicy towarzyszył dobiegający z daleka hałas, jaki czyni wielki i niespokojny tłum ludzi. Spojrzył na wejście do lombardu – nienaruszone. Żydowin nie dawał sobie w kaszę dmuchać – gdy poleciały kamienie, pewnie zaryglował potężne, dębowe, stałą okute drzwi, odchylił judasza i dał ognia, co przekonało motłoch, by poszukał sobie łatwiejszej zdobyczy. Przyjaźń Szmula była szczerą, jednak nie na tyle głęboką, by ten wyskoczył na ulicę i w imię pomocy ryzykował życie swoje i dzieci.

Szlachcic podniósł się z ziemi i zaczął otrząpywać ubranie z błota i kurzu, w tej samej chwili uchyliły się drzwi, ciągle zabezpieczone łańcuchem.

– Panie von Ratschek! – zakrzyknął Żyd. – Pozwólcie tutaj!

Jan podszedł bliżej.

– Cieszę się bardzo, żeście żywi. Wybaczcie, że po was nie wyszedłem. Bóg mi świadkiem, ja nie mogłem ku wam wyjść. Gdybym tylko drzwi otworzył, weszliby tutaj, zamordowali mnie i ograbili, nie mówiąc o tym, co by zapewne uczynili moim młodym i pięknym córkom.

Są różni przyjaciele i różnych przyjacieli się od nich oczekuje. Szmul mógł pożyczyć mu pieniądze, albo pielęgnować jego rany – ale przecież Jan nie oczekiwał, że lichwiarz będzie się bił w obronie szlachcica. Dlatego zdziwił się nawet przeprosinami Żyda. Machnął ręką na pożegnanie i poszedł do siebie. Postanowił dokładnie przemyśleć kwestię tych trzydziestu talarów, za które sprzedał ojcowską szpadę. Cztery przeznaczył na bieżące potrzeby. Po paru kwadransach na jego strychu stał stół, kupiony od sąsiadów z dołu, a na stole parowała potrawka z kurczęcia, pachniała zachęcająco połowa pieczonej kaczki, było też kilka pęt kielbasy, chleb i ser. I trzy butelki reńskiego.

Po raz pierwszy od kilku tygodni Jan położył się tego wieczora spać najedzony. Był również nieco pijany. Chłodny od dawna blaszany piecyk dziś rozpalony był prawie do czerwoności – a obok piętrzył się jeszcze wesoły stosik pięknych, brzozowych polan. Jan położył się w barłogu, z satysfakcją przyjmując fakt, że jest mu za gorąco i zdjąć musi surdut i buty. Po kilku minutach chrapał już. Śnił mu się ojciec, co było przykre.

Rano, po śniadaniu, ułożył plan dnia. Teraz spacer i rozmyślenia nad sensownym wykorzystaniem trzydziestu talarów. Późnym popołudniem obiad w restauracji, potem godzina sjęsty, a wieczorem do burdelu.

Pełen optymizmu wyszedł więc pospacerować. Pogrążony w rozmyśleniach, trafił na zapomnianą uliczkę niedaleko katedry. Piekarz, szewc, zecer – mała drukarenka, zajmująca się akcydensami. Na witrynce przyczepiona kartka „na sprzedaż”.

Wrócił nazajutrz ze złotem w kieszeni. Po trzech godzinach negocjacji był już właścicielem zakładu. Stary zecer oddawał drukarnię za bezcen, uczciwie przyznając, że od wybuchu rewolucji zakład nie przynosi żadnych zysków. Ludzie już nie drukują obwieszczeń o pogrzebach i weselach, zaś posiadanie biletów wizytowych jest najlepszym dowodem na przynależność do klasy, której miejsce jest na łagodnych stokach winnicy Derflingen, przed lufami załadowanych kartaczami armat.

Jan miał wielu znajomych z dawnych lat. Nie spotykał się z nimi często, gdyż byli w większości bogatymi ludźmi. Nigdy nie prosił ich o pomoc, ale wiedział, że czują zakłopotanie na myśl o sytuacji, w jakiej się znajdował. Liczył więc na życzliwość jednego z nich, zwłaszcza że teraz nie chciał jałmużny, lecz proponował swoje usługi. Napisał więc list, zaadresowany „Kancelaria Republiki, Starszy Sekretarz ds. Administracji Obywatel Hoimar Botzen”. Zwięźle wyrażał gotowość współpracy w zakresie dostarczania Sekretariatowi ds. Administracji wszelkiego rodzaju obwieszczeń, ogłoszeń i druków urzędowych. Podpisał się „Johann Ratschek”, opuszczając „von” czym deklaratoryjnie wyraził lojalność wobec Obywatela Sekretarza, który jeszcze rok temu był przecież Hoimarem von Botzen zu Dreibaum. Dawał tym samym kolejny powód, by jego prośbę rozpatrzyć przychylnie, poza ewentualną chęcią udzielenia pomocy kompanowi z dawnych lat.

I rzeczywiście. Zaczął od przeróżnych druków administracyjnych, formularzy, wzorów. A zamówienia były niemałe i płatne z góry.

Ratschek zatrudnił starego właściciela drukarni i kilku pomocników. W kilka tygodni dorobił się pieniędzy, które pozwoliły mu funkcjonować bez trosk o to, co będzie jadł następnego dnia. Potem Sekretariat zamówił u Ratschka druk obligacji zabezpieczonych na skonfiskowanym majątku Kościoła, które stały się głównym środkiem płatniczym Republiki.

Gdy finanse Republiki się załamały, druk nowych obligacji, tylko teoretycznie mających pokrycie, stał się kwestią „być albo nie być” rewolucji. Drukarnia Ratschka się rozrastała. Ochroniała ją bez przerwy kompania grenadierów – cały pułk dragonów zaś był odpowiedzialny za ochronę codziennych transportów farby drukarskiej.

Im więcej obligacji drukowali, tym mniej były warte – jednak Jan płatność przyjmował tylko w gotowiznie i nieruchomościach. Zwijał się jak w ukropie, nie licząc nawet złota i aktów własności pokościelnych dóbr w całym kraju. W lutym schodząca kra zerwała mosty na kilku czeskich rzekach i transport farby nie dotarł. W nocy ze środy na czwartek Republika stała się niewypłacalna. Jednak wtedy Ratschek poprosił Sekretarza o kompanię wojska i obiecał, że za cztery godziny wznowi druk. Przez pół nocy jeździł konno po Wiedniu na czele dragonów, konfiskując, odbierając, kradnąc i wydzierając. Rano drukarnia już działała. Obligacje wydrukowane tego dnia były podłej jakości – ale były.

Od Generalnego Komisarza Republiki Maximilliana Kleiderpetera Jan otrzymał pamiątkowy medal „Za Zasługi dla Rewolucji”, który z pogardą wrzucił do szafy. Ale swojej szpady od Żyda nie odkupił. Przecież nie był już szlachcicem, był rzemieślnikiem. Po co mu szpada? Czasy były niebezpieczne, nosił więc obrotowy, wielostrzałowy pistolet, z butelkowym angielskim zamkiem, ostatni krzyk techniki. Kule są lepsze i pewniejsze niż ostra stal.

Czasem tylko odwiedzał Samuela i patrzył na szpadę, którą dostał od Ojca. Meinnetwegen.

Jakże pięknie trwa ten romans! Oczywiście, zmierza ku nieuchronnemu tragicznemu zakończeniu. Anna wie, że życie pisze dramaty, tragedie, komedie, romanse, nawet wiersze czasem, ale sielanek – nigdy. Teraz Anna czuje, że ciągle jeszcze znajduje się na tych stronach romansu, które uważa czytelniczka pochłania z zapartym tchem, w miłym zadowoleniu, jakie daje jej utożsamianie się z przeżywającą miłosną przygodę heroiną. Potem to zadowolenie ustąpi perwersyjnie przyjemniejszemu, empatycznemu pogrążaniu się w tragedii. Ale jeszcze nie teraz! Przez granicę przekradli się nocą. Teraz jadą przez Morawy, w wygodnym powozie. Tylko oni, i cichy stangret na koźle. Maurycy wynajął powóz wraz z woźnicą w Cieszynie. W oczach wąsatego, starego Czecha, który ich wiezie, Anna widzi potępienie i zgorzenie, tłumione tylko złotem jej kochanka; ale teraz dla niej liczą się tylko oczy jednego mężczyzny, tylko to, co może dostrzec w spojrzeniu Maurycego jest dla niej ważne.

A Maurycy patrzy na nią różnie. Czasem z rozbawieniem, czasem z zainteresowaniem, kiedy rozmawiają o książkach. Czasem nawet udaje się jej go zdziwić. Często spojrzenie Maurycego jest pełne pożądania, podobnie jak ona sama. Nocami, w zajazdach i hotelach, zaspokajają to uczucie. Ich namiętność ciągle jest jak rozbitek na morzu – im więcej słonej wody pije, tym większe odczuwa pragnienie. Anna wie, że od takiej miłości się umiera, ich romans to tylko zachwycająca agonია. Ale czy można cudniej umierać niż w uścisku męskich ramion, przy wiecznie spragnionych pocałunków ustach? Anna nie pyta więc o cel podróży, wie, że u kresu tego romansu skończy się też jej życie. Pewnie nadal będzie oddychać i poruszać się – ale nie będzie już żyła, bo jej życie skończy się wraz z ostatnim pocałunkiem Maurycego. Później czeka ją tylko jakaś nędzna egzystencja, aż do cielesnej agonii, po której zapadnie się w śmierć wieczną, w potępienie. W piekle spotka pewnie Maurycego. Anna jest naiwna; perspektywa wiecznego potępienia wydaje jej się znośniejsza, gdy myśli, że on będzie tam z nią.

Maurycy nie myśli o potępieniu. Nie będziesz miał żadnych bogów nad sobą, to jego przykazanie. Dziewczyna zdaje się rozumieć swoje położenie. Nie skarży się, nie zaklina, nie

chce obietnic i przyrzeczeń. Po prostu syci się jego obecnością. Zdaje mu się, że Anna nie sypia – tak jakby każda chwila z nim wymagała ze strony dziewczyny świadomego uczestnictwa, jakby była zbyt droga, by pozwolić sobie na sen. Zawsze gdy otwiera oczy, napotyka wzrok kochanki. Czuwa, wpatrzona w niego. I patrzy mu w oczy, głęboko i badawczo, jakby chciała w jego twarzy, w jego wzroku odszukać coś, co wykracza poza cielesne pożądanie. Cieszy ją jego łakome spojrzenie, uwielbia dłonie, które błądzą po jej ciele. Nigdy nie odmawia mu siebie i zawsze po spełnieniu szuka jego spojrzenia. Wie o beznadziejności tych prób, lecz ciągle ma nadzieję, że znajdzie w nim to, czego sama ma w takiej obfitości.

Lecz oboje wiedzą, że w Maurycym uczucia do innego człowieka być nie może, gdyż bez reszty wypełnia go miłość własna.

A za oknem powozu przewija się morawski krajobraz – wioski, pola, zagajniki i sady. Anna nigdy nie była tak daleko od domu. Jednak nie jest zainteresowana podróżą, bo interesuje ją tylko Maurycy. On zaś nie wygląda przez okno, bo i tak zna te nudne widoki na pamięć. Och, gdyby tak pojechać do Italii!

Ale jadą do Wiednia. W Italii jest pięknie i słonecznie, człowiek może sycić się krajobrazem i historią, która go wypełnia. Chłonać przez skórę słońce, zapach wina i oliwy, flirtować z Włoszkami i włóczyć się po ulicach Rzymu i Neapolu. Jednak w ponurym Wiedniu dzieje się historia! A to jest właśnie najbardziej pasjonujące.

Maurycy nie poświęca całego czasu swojej kochance, oczywiście. Nie można przesadzać z rozrywkami. Ma ze sobą książki, które przygotowują go do roli, jaką chce – ba, jaką musi spełnić. Czyta *Umowę społeczną* Russa, przerywając ją co chwila paroma smakowitymi fragmentami z Woltera. Swoją wiarę w jedyne bóstwo, w siebie, podpira czasem baronem d’Holbach. Gdy chce powściągnąć zapał, czyta Locke’a. Czasem nawet odczytuje pewne fragmenty swojej towarzyszce – a ta zdaje się je rozumieć.

Lecz im bliżej są Wiednia, tym mniej myśli o Annie, więcej zaś o polityce. Gdy nocują w Briinn, Maurycy, pochłonięty lekturą pamfletów Hansa Plume, po raz pierwszy przedkłada książkę nad ciało swej kochanki i nie przychodzi do Anny w nocy. Owszem, następnego wieczora oddaje z nawiązką to, czego zaniedbał. Ale Anna już widzi, że Maurycy coraz mniej poświęca jej uwagi, wybiegając raczej myślami w przyszłość.

A potem docierają do Wiednia i Anna wie, że niewiele stron pozostało już do tego momentu, w którym w romansach zazwyczaj umieszcza się rycinę, ilustrującą tragiczną scenę porzucenia. Ona, w potarganej sukni, lub, gdy książka jest francuska, w samej nocnej koszuli, siedzi pod antyczną kolumną, zastygła w tragicznej pozie, dotykając czołem marmuru, a z bezsilnie rozchylonej dłoni wypada kwiat. Albo list od niewiernego kochanka. I może na drugim planie widać oddalającego się jeźdźca.

Pierwszą noc spędzają w hotelu. Maurycy powraca do początków swojego zauroczenia. Jest szarmancki, ujmujący, hojny... I Anna wie, że ogląda go po raz ostatni. Nie płacze, do końca syci się jego obecnością.

Budzi się rano w zmiętej pościeli, pachnącej miłością i jego ciałem. Ale Maurycyego już nie ma. Na nocnym stoliku leży sakiewka. Jeżeli w środku jest złoto, wystarczy na miesiąc, czy dwa. Jeżeli srebro – na tydzień. Anna odwiązuje rzemień – w środku błyszczą złote talary. Dziewczyna uśmiecha się. Chciałaby zostawić tu wszystko, co dostała od niego, ale nie może przecież wyjść na ulicę naga. Zakłada więc najskromniejszą z sukien i wychodzi. Idzie przed siebie. Nie wie, co będzie dalej. Nie interesuje się już swoim życiem.

Zaś Maurycy w Ujeżdżalni, w której teraz mieści się Trybunał Rewolucyjny, spotyka kilku swoich przyjaciół. Wielu jednak nie ma już w Wiedniu, och, jakże się podzielili koledzy z jednego gimnazjum! O nieobecnych ci w Ujeżdżalni mówią „wrogowie”. Uciekli z cesarzem, walczą w partyzantce. Głupcy. Nie wiedzą, gdzie jest jądro życia, gdzie dzieje się

świat. Maurycy historię i życie uważa za wiatr, który wypełniać ma jego żagle; dobry żeglarz może żeglować z wiatrem, lub ostro na wiatr, ale przecież pod wiatr płynąć nie można!

Rewolucja jawi mu się jako siła, praca w jednym kierunku, której trzeba się poddać. Bardziej doświadczeni polityczni gracze wiedzą, że rewolucja jest chaosem, jest zbiorem szalonych trąb powietrznych i sztuka przetrwania jest sztuką lawirowania. Konieczny konformizm trzeba okiełznać myśleniem o przyszłości i przyszłych, równie koniecznych konformizmach. Nigdy nie należy mówić rzeczy, których potem nie będzie można odwołać. Tego właśnie nie wie Maurycy i już pierwszego dnia wygłasza przemówienie jednoznacznie i trwale określające jego przynależność – akt, na jaki nie pozwoli sobie żaden doświadczony gracz, ceniący swoją cielesną powłokę.

Armaty w Derflingen ryczą przecież codziennie, a między zwykłymi ludźmi, mielonymi przez żarna rewolucji, trafiają się tam również pechowcy, którzy nie potrafili wystarczająco wcześnie odgadnąć, która z walczących na ulicy stron zwycięży. Ale tego Maurycy nie wie, a pierwsze dni jego rewolucyjnej aktywności naznaczone są pasem sukcesów. Wszyscy go fetują i oklaskują, bo jest radykalny. Tak właśnie postępują ci bogatsi w doświadczenie i umiejętności. Sami powstrzymują się od radykalnych wystąpień, swoją lojalność wobec sprawy potwierdzając oklaskami dla radykałów.

W tym samym czasie Anna chce rzucić się do rzeki, lecz nie znajduje w sobie dość odwagi. Siedzi więc na balustradzie mostu, i pozwala dalszej swojej egzystencji, której nie uznaje już za życie, toczyć się bezwolnie. W jej romansie obcy czytelnik przeczytał wypisane kapitalikami słowo KONIEC i zamknął książkę.

Czytelnik dużo gorszej literatury otwiera nową książkę.

Człowiek biegły w wyszukiwaniu kobiet, które można uczynić dochodowymi, zauważa Annę i niechybnie przyporządkowuje ją do kategorii tych, którym jest wszystko jedno. Zabiera ją więc ze sobą, a Anna idzie bez protestów. Kiedy karmi ją i poi winem, dziewczyna nie czuje wdzięczności. Wreszcie zdiera z niej suknię, rzuca na łóżko i pospiesznie gwałci, ale Anna się nie broni. Wie przecież, że Maurycy już nie położy jej w białej pościeli.

Jeszcze tego samego dnia przychodzi do niej przyszczaty student z kilkoma uciulanymi groszami. Szanuje damę, którą wielbi, nie może wymagać od niej takich postępów, jednak jest już mężczyzną i potrzebuje kobiety, idzie więc do burdelu, aby zażyć relaksu z dziwką. Jest nieporadny i delikatny, wychodzi bardzo zadowolony.

Anna jest bezwolna. Jest pusta. Uśmiecha się do ściany, bo ściana ma ten sam kolor, co tapeta w którymś z hoteli na Morawach. Przychodzą do niej codziennie, miesiąc po miesiącu, przez sto lat. Student, robotnik, gawrosz, urzędnik, mąż, starzec, młodzieniec, wdowiec, ojciec, bandyta, rojalista, rewolucjonista, szewc, szklarz. Anna daje im to, czego szukają, wciąż nieświadoma. Bo Anna myśli tylko o Maurycym, w dłoniach mężczyzn, którzy kupują ją sobie na godzinę, szukając wspomnienia jego dłoni.

Sutener zabiera jej wszystkie pieniądze, bo wie, że Anna nie zaprotestuje, więc czemu oddawać miałby zarobek przygłupiej kurwie? Czasem chciałby tylko, żeby Anna bardziej się przykładała do profesjonalnego wabienia frajerów. Jednak dziewczyna nie rozumie, o co chodzi. Zirytowany alfons bije ją laską i gwałci, licząc, że lekcja przyniesie skutek. I rzeczywiście, Anna nie chce sprawiać kłopotów i stara się bardziej. Opanowuje szybko cały profesjonalny rynsztunek. Pończoszki, trzewiczki, gorsety, uśmiechy, szminka, kok, wilgotne spojrzenie. Szept, muśnięcie dłonią. Sutener jest zadowolony, kupuje Annie suknie. Anna prawie go kocha, bo Maurycy również kupował jej suknie. Polubili ją poeci ze stołecznej awangardy. Zabierają często do garsoniery, w której piją czeski likier i palą sprowadzane z Chin opium. Anna również pali.

A którejś nocy sutener ostatkiem sił dowleka się do drzwi pokoju Anny i wali w nie pięścią. Anna odpycha studenta i otwiera, a alfons wtacza się i umiera obok łóżka z wbitym w plecy nożem.

Rewolucja wkracza w swoją przasną fazę: Kleiderpeter jest adwokatem z saskiej purytańskiej rodziny. Cenzura obyczajowa z czasów cesarstwa ograniczała się do fasad, rząd Republiki chce zaś zlikwidować prostytutkę jako objaw społecznej nierówności. Dlatego żaden inny alfons nie zajmuje się Anną. Suknie, które kupił jej martwy teraz opiekun, szybko się niszczą. Anna żebrze na ulicach. Jeśli uda się jej zdobyć pieniądze, kupuje za nie opium, od poetów. Czasem po starej znajomości dają jej zapalić za to tylko, że oddaje im się zawsze, gdy tylko jej zapragną. A pragną coraz rzadziej, bo Anna wygląda coraz gorzej.

Dostaje gorączki i zaczyna kaszleć. Wtedy poeci wyrzucają ją z garsoniery i zabraniają wracać, póki nie wyzdrowieje. Wszyscy boją się epidemii.

Anna włóczy się po zimowych ulicach, kaszląc. W końcu traci przytomność i upada, w bramie na uliczce niedaleko katedry, prawie pod nogami strzegących drukarnię grenadierów.

Jan wstał od biurka, aby odpocząć od tasiemcowego raportu dotyczącego produkcji z zeszłego miesiąca. Przebijał się przez zapisane równym pismem tabele od trzech godzin i należał mu się odpoczynek. Podszedł do okna, by spojrzeć na ulice pokryte cienką warstwą śniegu. I wtedy zauważył, jak jeden z żołnierzy szarpie brutalnie leżącą na pawimencie dziewczynę. Wybiegł, wzburzony. Wymyślając od bydlaków, trzasnął żołdaka w twarz i rozkazał przenieść dziewczynę do izby.

Była wyczerpana, brudna i mizerna. Kiedyś niewątpliwie była piękna, zaś łachmany, w jakie była odziana, kiedyś były prawdziwą suknią. Ratschek wezwał dwie kobiety, zajmujące się w drukarni mieszaniami farb. Polecił im zabrać dziewczynę do domu, napoić, nakarmić, umyć, wyleczyć. Patrzyły zdziwione, ale gdy wręczył każdej po talarze, zadowolone wezwały dorożkę, by odwieźć chorą do mieszkania. Kazał się informować o stanie chorej i wrócił do swojego raportu. Dziewczyna pewnie umrze, ale przynajmniej w ciepłym łóżku, nie zdechnie na ulicy jak pies.

A jednak nie umarła. Po trzech tygodniach przyszła do drukarni. Oczywiście, grenadierzy zagroźili jej drogę i kazali uciekać. Wtedy stanęła przed nimi i powiedziała, że będzie tu stała, póki nie pozwolą jej widzieć się z jaśnie panem Ratschkiem. Żołnierz odparł, że jaśnie panów już nie ma, a obywatel Ratschek ma pilniejsze sprawy na głowie niż odwiedziny młodych dziewczek. Jednak, gdy stała tam godzinę, jeden z wartowników zlitował się i poszedł do Ratschka zapytać, co zrobić z dziewczęciem. Jan wyjrzał przez okno i poznał tę, którą uratował. Kazał prosić.

Weszła do gabinetu i od drzwi rzuciła mu się do nóg. Objęła pod kolana, jak obejmuje się ojca i jęła dziękować kiepską niemieczyzną. Ratschek poznał śląski akcent, więc odezwał się w swojej muttersprache:

– Dyc dej se pokój, dziółszko, i stowej...

Na dźwięk śląskiego dziewczyna zamarła. Język, którym mówiła jej matka; język, którym mówił jej mąż... Jej dobroczyńca, mówiąc do niej po śląsku, stał się kimś bliskim, chociaż niepomiernie wyższym... Jak ksiądz spowiednik. Wiedziała, że musi wyznać mu ogrom swojej zbrodni, i wiedziała, że on jej udzieli przebaczenia. Tymczasem musi być tylko blisko niego...

– Panoczku, weźcie mie do sia, na służónco... Poradza warzić i prac, byda wóm wszystko robiyła, bydziecie mieli w chałpie zawždy posprzöntane, zol pośmioton i umyja koždy dziyń, tepichy byda klupać, bifyje i szranki wyrichtuja, wszystko poschróniom,

śniodanie, łobiod, swaczyna i wieczero uwarza, szaty wypiera, fuzekle koždy dziyń, i wybiglują wszystko...

Słuchał bezładnej wyliczanki jak zaklęty. Słowa, które znał z dzieciństwa, brzmiały ciepłem kuchennego wejścia do pałacu. Tak mówiły kucharki i służące w rodzinnym dworze, i tak rozmawiała z nimi matka, która przy ojcu mówiła tylko po niemiecku. Kiedy uciekał spod ojcowskiego spojrzenia, biegł do kuchni. Grube kucharki, proste wieśniaczki nie zwracały się doń „Freiherr von Ratschek”, mówiły po prostu pódź sam, bajtel, dom ci sznita z masłym i kyjzóm. Kobiece słowa, które budowały brzmienie kuchni, tak różne od brzmienia salonu, gdzie ojciec dobitnie wymawiał wzniośle brzmiące słowa, Gott, Ehre, Vaterland. Wspomnienia o ojcu zostawił w lombardzie, razem ze szpadą, tym miłsze wydały mu się te bifyje, tepichy, swaczyny i biglowanie. Dziewczyna zaczarowała go, przywołując na chwilę brzmienie najcieplejszego kąta rodzinnego gniazda. Owszem, potrzebował gosposi, pewnie któraś z kobiet pracujących w drukarni powiedziała o tym tej dziewczynie, ale nie dlatego zdecydował się ją zatrudnić. Anna stała się dla niego nagle odnalezioną pamiątką z dzieciństwa. Była jedną z tych ciepłych, śląskich kobiet, których miłość uczyniła jego dzieciństwo okresem nieomalże arkadyjskim. Chciał ją mieć przy sobie, tak jak nosi się czasem miniaturę matki w medalionie, lub wieszka na ścianie w salonie pejzaż z rodzinnym pałacem. Anna miała siedemnaście, może osiemnaście lat, ale miała w sobie odwieczne, ciche i pokorne ciepło śląskiej kobiety, ucieleśniające się w idealnie wyprasowanych, śnieżnobiałych koszulach, wymiecionych codziennie kątach, mytych co tydzień oknach... To samo ciepło, które nosiły w sobie kobiety jego dzieciństwa.

Dał jej adres i klucze, polecił przygotować mieszkanie na jego przyjście, wysprzątać wszystko i czekać z kolacją. Gdy późnym wieczorem wrócił do domu, nie zawiódł się. Kilka godzin i kobieca ręka sprawiły, że zimne mury nagle nabrały cech miejsca, o którym mógłby powiedzieć jes zech doma. Zjadł ze smakiem kolację, pochwalił swoją nową gosposię.

Gdy położył się spać, przyszła do niego. Jak płatna dziewczka sprawnie zrzuciła przyodziewek, stając przed nim naga. Przez chwilę patrzył na jej ciało, które na dobrym wikcie odzyskało ponętne kształty. Gdy wślizgnęła się pod pościel, nie miał już wątpliwości – dziewczyna pracowała jako dziwka. Powstrzymał jej umiejętnie dłonie, pozwolił jednak zostać przy nim w łóżku. Przyłgnęła doń całym ciałem, czuł jej młodzieńcze ciepło.

– Opowiadaj... – powiedział po niemiecku.

A ona opowiedziała mu całą swoją historię, po czym zasnęła. I spali tak do rana, przytuleni. Ratschek cieszył się bliskością, ciepłem, dotykiem jej delikatnie szorstkiej, matowej skóry, lecz nie pożądał jej. Była piękna, ale była czymś z domu. Jan nie był spragniony kobiet – chadzał czasem do burdelu, poza tym lata zrobiły już swoje. Nie chciał jej dla jej ciała, był przecież bogaty, zaś rewolucja wypchnęła na ulice zastępy piękniejszych od Anny dziewcząt. Nie chodzi nawet o zwykłe dziwki, lecz o młode kobiety, które w normalnych czasach wychodziłyby szybko za męża i rodziły dzieci. Chłopcy poszli walczyć w Prusach i w Rosji, i ginęli tam całymi tysiącami, a ci, którzy pozostali w Wiedniu, myśleli tylko o tym, jak przeżyć, a nie o zakładaniu rodziny. Więc sprzedawały się bogaczom w niewolę – ci zapewniali im mieszkanie, wikt i opierunek, czasem stroje, a one w zamian były zawsze gotowe, zawsze chętne. Nawet, jeśli bogacz przyprawdzał przyjaciół, aby spróbowali specjału, jaki trzyma w garsonierze.

Były od niej piękniejsze, delikatniejsze, bardziej niewinne. Zatrudnił ją nie dlatego, że szukał kobiety, zatrudnił ją, bo szukał domu. Gdy zbudził się o zwykłej porze, o piątej rano, a ona ciągle leżała, naga i wtulona w jego ramiona, delikatnie potrząsnął ją za ramię.

– Stowej, dziołszka, śniodanie trza narychtować.

Następnego dnia znowu przyszła do łóżka i położyła się przy nim naga, i znowu zasnęła, a on gładził ją po włosach. Lecz rankiem, gdy otworzył oczy, jej nie było już przy

nim. Usłyszał za to odgłosy kobiecej krzątanimy, poczuł zapach gorącej kawy, świeżego chleba i jajecznicy, stwierdził, że jest w domu.

Gdy siadł do stołu, Anna przerwała krzątanimę i bez pytania przysiadła obok. Ratschek pomyślał, że to chyba nie uchodzi, by gospościa siedziała ze swym panem przy jednym stole. Lecz przecież sypia z nim, naga, w jednym łóżku... Uśmiechnął się więc do niej. Anna upiła łyk swojej kawy i zabrała się za zmywanie.

Anna została kochanką Jana Ratschka. Po tym jak opowiedziała mu wszystko, ich relacja stała się ściśle intymna, czy tego chciał, czy nie. Nagość cielesna jest niczym wobec odstonięcia prawdziwych tajemnic. Kobiecość Anny była teraz tak dosłowna, że Ratschek czułby się niezręcznie, próbując jej nie dostrzegać. Była dalej jego gospościa, nocami wypełniając obowiązki utrzymanki. Płacił jej pensję gospościny, nic więcej, a ona nie prosiła go o prezenty czy pieniądze. Nie kochał jej, cenił po prostu ciepło, które mu dawała i uwielbiał jej ciało.

Anna kochała tylko jednego mężczyznę. Nie miała od niego żadnych wieści i była pewna, że we wspomnieniach Maurycego zlała się w jedno z całą rzeszą kobiet, które posiadał. Czasem nazwisko Schwarz, jakie przyjął, zgodnie z rewolucyjną koncepcją jedności narodowej, widniało na obwieszczeniach, drukowanych w drukarni Jana.

Myślała o mężu i synu. Republika wypowiedziała wojnę królowi Prus i jej wojska wkraczały właśnie na Śląsk, po czterdziestu latach pruskich rządów przywracając go znowu Austrii, chociaż już nie cesarskiej. Franz zapewne został wcielony do pruskiego wojska, do „bośniackiej” kawalerii. Czy jej szukał? A co z chłopcem? Jakaż matka porzuca swoje dziecko? Kim była – potworem? Dlaczego to zrobiła? Nic nie przerażało jej bardziej niż to, że jedynym człowiekiem na świecie, za którym tęskniła, o którego się bała i na którym jej zależało, był Maurycy. Gdyby ktoś zapytał teraz, czy woli spędzić jeszcze jedną noc z Czarnieckim, czy raczej wrócić do szczęśliwego życia z mężem i synem, bez żadnych konsekwencji, jakby wszystko było tylko snem, nie wahałaby się ani chwili. Było jej żal Franza i chłopca, ale o swoim postępku nie potrafiła myśleć inaczej, niż jak o powodzi, o żywiole, który niszczy wszystko na swojej drodze, niepokonany, nieposkromiony.

Ratschek, myśląc o Annie, modlił się.

Jakże wielki jesteś, Panie, dając nam namiętności tak potężne, że poddani im, pozbyć się możemy człowieczeństwa! Skręcając duszę ludzką supłem pożądań i pragnień, uczyniłeś nas prawdziwie wolnymi, gdyż wolność nasza realizuje się w wyborze między boskością a diabełstwem. Wybieramy między niewolą Twoich przykazań, a niewolą instynktów, tkwiących w naszych lędźwiach, zawsze sięgając ku wzniosłości. Wielkość jednego świętego warta jest hańby wszystkich grzeszników, a pełni człowieczeństwa doświadczają ci, wywyższeni pomiędzy Tronem i Panowaniem i ci, zepchnięci w najgłębsze otchłanie. Ta dziewczyna, którą do złego popchnęły czytane książki, Anna, która kocha sowizdrzała niewartego uczucia, i kocha go tylko dla dotyku jego rąk, dla smaku jego ust, dla uniesień, które jej dawał, sama zmierza ku potępieniu. Jednak osiąga tutaj wielkości, którą Ty nam dałeś. Smucisz się, gdy ona cię odpycha, wybierając dla siebie wieczne męki. A jednak, to przecież dzieło Twoje – i w tym również objawiasz swą wielkość, dając swemu stworzeniu moc tak wielką, by odepchnęło Ciebie, swego Stwórcę. Oto największy z Twych cudów – wolność, która prowadzi do zguby. Wolność, która może pokonać nawet Twą nieskończoną miłość do człowieka i wbrew Tobie skazać się na wieczne męki.

Medytując nad swoją modlitwą, którą zapisał na kartce z notesu, siedział przy stole, wsparłszy czoło na dłoniach. Mijał właśnie szósty miesiąc, od kiedy Anna wprowadziła się do

tego mieszkania. Usłyszał, jak zbiega po schodach. Wpadła do jego gabinetu, bez pukania. Podbiegła do biurka i rzuciła na blat świeżo wydrukowane obwieszczenie.

– Ratuj go – wyszeptała.

Spojrzał na papier. Moritz von Tscharnetzky vel Moritz Schwarz, wyrokiem Najwyższego Sądu Republiki, skazany na rozstrzelanie, wyrok wykonany zostanie dnia 23 lipca III roku Rewolucji w winnicy Derflingen. Jutro.

Wyrok wydany na piasku Ujeżdżalni, jak wszystkie, i tak jak wszystkie szybko wykonany. Zostanie w pantalonach i koszuli, zwiążą mu z tyłu ręce, postawią na wozie i zawiozą do winnicy, wymierzą armaty i rąbną kartaczami. A potem młodzi gwardziści pójdą dobić rannych bagnetami. I cóż on, Johann Ratschek, drukarz, może zrobić? Jego przyjaciel ciągle jest Sekretarzem, ale balansuje na skraju przepaści, tak jak wszyscy tutaj. Widmo Derflingen wisi nad każdym, kto ma chociaż skrawek władzy. Nikt nie zaryzykuje posady i głowy, dla ratowania kogoś, kto stał się martwy mocą podpisu Kleiderpetera. Kto ratuje trupy?

Każdy, czyje nazwisko znalazło się na wydrukowanym w drukarni Ratschka formularzu, na którym drżąca ręka Obywatela Naczelnika złożyła rozedrgany podpis, był martwy. Owszem, chodził jeszcze, mówił, oddychał, nie wiedział, co go czeka – ale był martwy, jak gęś, która biegnie, mimo że rzeźnik właśnie odrąbał jej głowę. I on, Ratschek, niezaangażowany politycznie, lecz zarabiający na rewolucji fortunę, więc podwójnie podejrzany, on, Jan Ratschek, tak sprawnie balansujący, on, którego życie odmienił rozsądek i spryt, on miałby nadstawiać głowy za jakiegoś polskiego szlachciurę, któremu zachciało się rewolucji? Za tego bawidamka, tylko dlatego, że dziewczyna, która grzeje mu łożę, zakochana jest w tym durniu bez pamięci, mimo że ten nawet jej zapewne nie pamięta?

– Ratuj go, panie... – poprosiła jeszcze raz.

– Dobrze – odpowiedział Ratschek i zrozumiał, że kocha Annę, kocha ją jak szalony i zrobi wszystko, o co ona poprosi.

Nie przyszła tego wieczoru do łóżka. A Jan pragnął jej tego dnia naprawdę, pożądał jej po raz pierwszy. Wstał i znalazł ją na prowizorycznym pościelaniu w kuchni. Położył się obok niej, ale odepchnęła go, delikatnie, lecz stanowczo. Zrozumiał, że teraz znów należała tylko do tamtego. Odszedł i nie spał tej nocy. Siedział w nocnej koszuli przy biurku i myślał nad tym, co może zrobić.

Na dwie godziny przed świtem wyciągnął z biurka sakiewkę ze złotem. Wrzucił do kieszeni czterdzieści talarów. Resztę podręcznych pieniędzy, ponad sześćdziesiąt talarów w złocie, zawiązał w mieszkku i rzucił na posłanie Anny. O czwartej nad ranem poszedł do drukarni. Nie zajrzał nawet do głównego pomieszczenia, gdzie na nowych maszynach drukowano obligacje. Wszedł do starej drukarni, gdzie dalej odbijano akcydensy. Odesłał do domu obydwu zecerów, założył fartuch i w szpaltach własnoręcznie ułożył formularz upoważnienia, po czym odbił go we dwóch egzemplarzach. W gabinecie miał dwa sejfy, własny oraz państwowy, otwierany dwoma kluczami. Jan miał jeden klucz, drugi zaś był w posiadaniu sekretarza. W skrytce leżały pieczęcie – często nie było czasu na wysyłanie wydrukowanych wyroków do urzędu, czy do ujeżdżalni, więc odpowiedni człowiek stempłował i podbijał papiery w gabinecie Ratschka.

Jan zerwał lakową pieczęć z drzwiczek i przyniesionym z warsztatu ręcznym świdrem zaczął rozwiercać zamek. Po godzinie z okładem sejf stał otworem. Jan podbił papiery i podrobił podpis samego Kleiderpetera. Wiedział, że według rewolucyjnej hierarchii wartości popełnia teraz najgorsze bluźnierstwo. Kleiderpeter był jak bóg, zaś papier z jego podpisem był relikwią, przedmiotem kultu, był jak grom w rękach Zeusa. Nie można było w Republice popełnić większej, bardziej wywrotowej, bardziej bluźnierczej zbrodni, niż podnieść rękę na autorytet Naczelnika ujęty w jego podpisie. Ze świadomością wagi swojego postępków Jan

schował papiery do pugilaresu i ruszył do lombardu. Szmula nie było, za ladą stał jego syn, który bez słowa przyjął pieniądze i wydał Ratschkowi jego broń.

Johann von Ratschek przypasał toledańską szpadę, którą otrzymał od swojego ojca na osiemnaste urodziny i poszedł do aresztu przy ujeżdżalni, uratować Moritza Schwarza, nędznika, któremu przydarzyło się być kochanym. Odpowiedni papier otwiera każde drzwi. Trzy kwadransy później oszołomionego, zmarnowanego Maurycego strażnicy wyprowadzili przed więzienie. Ratschek wręczył mu paszport i przepustkę. Maurycy był zdziwiony, ale w zasadzie spodziewał się tego – przecież nie jest byle kim, nie może położyć głupio łba w Derfiingen! Nie wnikał w motywy tego dziwaka, który przyniósł mu wolność, postanowił za to oddalić się ze stolicy natychmiast. Ratschek chwycił go za ramię i warknął:

– Domstrasse, kamienica pod Orłem, mieszkanie Ratschka. Ona tam czeka na ciebie, gnido. Tylko jej zawdzięczasz życie. To mogłoby cię nie przekonać, ale ona ma również pieniądze, jedź tam, zabierz ją i uciekajcie za granicę, do Prus albo do Rosji.

Maurycy wzruszył ramionami i odszedł. Po kilku krokach stwierdził, że w istocie dysponuje w tej chwili tylko dwoma miedziakami, których rewidującym go strażnikom nie chciało się wyciągać z kieszeni pantalonów. Udał się więc pod wskazany adres.

Jan ściągnął kapelusz i z odkrytą głową niespiesznie szedł w kierunku drukarni. Zatrzymał się w kawiarence. Zjadł kawałek tortu i popił mocną kawą, przeczytał gazetę. Po zastanowieniu stwierdził, że to miejsce jest tak samo dobre jak każde inne, zamówił więc następną kawę i apfelstrudel. Miał ze sobą tomik francuskich wierszy Racine'a. Piękne, kieszonkowe wydanie. Czytał jeden wiersz po drugim, powoli i dokładnie, mamrocząc francuskie słowa pod nosem. Jak sądził, miał kilka godzin. Niechże Maurycy i Anna będą już daleko.

Nie mylił się, znaleźli go w południe. Do kawiarni weszło sześciu gwardzistów, tupiąc podkutymi buciorami. Nałożyli bagnety na karabiny, zaś najstarszy zapytał Jana:

– Obywatel Ratschek?

Ratschek skinął głową i szybko wyszarpnął szpadę z pochwy. Lewą ręką sięgnął za pazuchę, wyciągnął pistolet i zastrzelił jednego z gwardzistów. Pozostali przyskoczyli, drugi padł, gdy Jan wbił mu w gardło klingę szpady. W tym momencie trzy bagnety przebiły mu brzuch. Zwalił się bez przytomności na ziemię. Odzyskał świadomość dopiero na wozie. Klęczał, oparty o czyjeś plecy w białej koszuli. Broczył obficie z ran. Jechali do Derflingen i nie zostało mu już wiele drogi do przebycia.

Nie był w stanie stać, więc pełniący służbę w krwawej winnicy młodzi gwardziści nakazali dwóm innym skazanym go podtrzymać. Jan chciał pozostać przytomnym. W końcu niewiele mu chwil tutaj zostało. Popatrzył w ciemny wylot armatniej lufy, na rękę kanoniera, przykładającą do otworu zapalowego płonący lont.

Kartacze poszarpały ciało Jana von Ratschek, ale żył jeszcze, gdy wrzucono go do dołu i przysypano wapnem i cienką warstwą ziemi. Nie czuł już nic, nie był w stanie nawet myśleć. Jedno tylko imię cały czas rozbrzmiewało mu w głowie, aż skonał.

Maurycy zaś pobiegł co tchu pod wskazany adres. Drzwi nie były zamknięte, wszedł więc. Przy okrągłym stole w salonie siedziała Anna, w podróżnej sukni, na krześle obok leżał tobołek z kocem i kilkoma ubraniami. Podniosła wzrok i gdy zobaczyła, że to Maurycy, nie Jan, zemdląła. Czarnecki ocucił kochankę kilkoma pocałunkami, wygłaszając przy tym parę komunałów o swym uczuciu, które było tak gwałtowne, że kazało mu ją porzucić. Anna poprosiła, żeby przestał, zaś Maurycy przypomniał sobie, że Ślązaczka była inteligentną kobietą, więc zaniechał kłamstw. Przebrał się w skromny, urzędniczy surdut, który zawczasu przygotowała. Wręczyła mu sakiewkę ze złotem, przeliczył i, nieco zawiedziony wysokością kwoty, schował pieniądze do kieszeni. Wyruszyli po kwadransie.

Ratschek przygotował dobre papiery – opuścili Wiedeń bez żadnych kłopotów. Ruszyli na północ, na Morawy i Śląsk. Musieli opuścić Republikę, Czarnecki sądził, że

najłatwiej będzie przekroczyć granicę pod Częstochową. Chciał udać się do Warszawy. Pokój między Republiką a królem pruskim, chociaż chwilowy, powinien pozwolić na przejechanie granicy i urządzenie się po drugiej stronie. Gdyby wybuchła nowa wojna, ruszy na północ, uciekając przed grenadierami Kleiderpetera. Gdyby było trzeba, ujedzie do Danzig, a stamtąd do Anglii... Anglia! Właśnie! Tam jest prawdziwie światowe życie...

Anna niewiele mówiła. Gdy jej pozwolił, przyłgnęła doń całym ciałem, tuliła się i całowała jego dłonie, powtarzając „dziękuję, dziękuję, dziękuję”. Wiedział, że to jej zawdzięcza ocalenie. Każdej nocy okazywał więc wdzięczność, póki starczyło mu sił.

Był poważnie osłabiony i chory, ale cóż z tego, kiedy był żywy! Wynajęli powóz, nie chciał jechać dyliżansem publicznym, więc podróż nie była tak uciążliwa. Jednak z każdym tygodniem słabł. Gdy dotarli do Olmütz, trawiła go taka gorączka, że bredził w malignie. Anna postanowiła zatrzymać się w hotelu, póki Maurycy nie wyzdrowieje. Wezwany lekarz stwierdził tyfus, zakazał zbliżać się do chorego komukolwiek poza Anną i stwierdził, że za trzy dni będzie po wszystkim. Anna, która już raz wyrwała Mauricego śmierci, postanowiła się nie poddawać. Pielęgnowała go jak mogła najlepiej, zgodnie z zaleceniami, które wydobyła od lekarza z niemałym trudem (droga pani, to na nic, to beznadziejne), puszczała Czarneckiemu krew, nacierała maściami, kładła gorczycę na piersi chorego. Jednak doktor miał rację i Maurycy umarł trzeciego dnia. Anna nie mogła patrzeć na trupa swojego kochanka. Ciało, które dało jej tyle rozkoszy, pozbawione siły, która pchała w żyłach krew, teraz zimne i bezwładne, było czymś obcym, jak straszny manekin.

Wyjechała w godzinę po jego śmierci, pozostawiając w hotelu pięć talarów na urządzenie pogrzebu. Za pięć talarów ołomuniecki proboszcz sprawił Maurycemu de Czarnecki (takie nazwisko zapisała na kartce Anna) chrześcijański pogrzeb, godzin szlachcica i postawił na grobie skromny, kamienny pomnik, z wrytym nazwiskiem i datą śmierci.

Anna kontynuowała podróż. Gdy po paru dniach wyszła z powozu pod nowym, pilchowskim kościołem, mimowolnie ruszyła w stronę swego rodzinnego domu. Ludzie nie poznali jej, skandal, jakim była ucieczka młodej żony Pawłasa, wydarzył się dawno temu, nikt już o nim nie pamiętał (wyjąwszy samego Franza, zapewne), zaś odziana „po pańsku” dama, idąca drogą, nie przypominała rudego dziewczęcia w kolorowej kiecce i zapasce. Anna doszła wreszcie do rodzinnej zagrody, ścigana ciekawskimi spojrzeniami. Na laubie siedział Franz, paląc fajkę, nieopodal bawił się w piasku jej syn... Jakże urósł!

Franz poznał ją natychmiast. Oto stała tam, przy furtce, ta, którą najpierw beznadziejnie ścigał przez tyle czasu, ta, o której bezustannie myślał, będąc w wojsku, ta, która porzuciła swego męża i dziecko... Ta, która zniknęła jak kamień w wodzie, której rudych włosów wypatrywał tak długo, teraz stoi przy furtce. Sama, w pięknej sukni, z bagażem.

Wstał, bez słowa zabrał syna i wszedł do domu. Anna nie zrobiła nawet kroku, pewna, że Franz jeszcze się pojawi. I rzeczywiście, wyszedł po chwili, niosąc w rękach zawiniątko. Podszedł na kilkanaście kroków do furtki. Zmienił się, postarzał. Jednak był jeszcze piękniejszym mężczyzną niż wtedy, szpakowate włosy dodawały mu powagi, zaś zmarszczki podkreślały ostre rysy. Zmężniał, pewnie na wojnie, nie utył, miał piękną figurę, rozłożyste bary i szeroką, silną pierś. Anna pomyślała z sympatią, że piękniejszy jest niż Maurycy, chociaż inną zupełnie urodą.

Nie odezwał się ani słowem. Cisnął za płot pakunek, który trzymał w dłoniach, odwrócił się i zniknął we wnętrzu domu. Anna podniosła związany paskiem pakiecik i uchyliła płótno, w które spowite było zawiniątko. W środku były jej książki.

Powóz czekał pod kościołem. Wróciła doń i kazała zawieźć się do hotelu „Pod Złotą Gęsią” w Gliwicach. Tam wynajęła pokój, przedstawiając się jako Anna de Czarnecki. Wybrała ten sam, w którym spędziła swoją pierwszą noc z Maurycym. Nie rozpakowywała

bagazy, wyjęła tylko przybory do pisania i atrament. Napisała list, po czym zeszła na dół i poprosiła służącą, by za czterdzieści pięć minut wezwała do jej pokoju lekarza. Wróciła do pokoju i otworzyła pakunek z książkami. Trzymała w dłoniach swoje romanse, przeglądała je, chociaż знаła przecież każdą stronę na pamięć.

Bohaterki romansów czasem same zadają sobie śmierć. Zażywają truciznę, ukrytą w pierścieniu i umierają w ramionach kochanka, lub przecinają sobie żyły, w kąpieli i zastygają, alabastrowe, z mokrymi włosami, wpatrzona w przestrzeń.

Anna nie była romansową heroiną. Wyjęła więc z mufki pistolet Jana Ratschka, objęła wylot lufy wargami i strzeliła.

Lekarz, wchodząc właśnie po schodach, usłyszał strzał i strwożony zbiegł na dół. Wezwano żandarmów, ci bez wahania otworzyli drzwi. W liście, pozostawionym na stole samobójczyni przedstawiała się jako Anna Pawlas, żona Franza Pawlasa, lat 18, ładaczka i zdrączyńska. Prosiła o powiadomienie męża o swej śmierci, aby stał się wreszcie wolny.

Na pogrzebie Anny nie było księdza, pochowano ją pod płótnem cmentarza przy starym kościele pod wezwaniem św. Bartłomieja, znajdującym się daleko za murami miasta. Franz nigdy nie przyszedł na jej grób, ożenił się ponownie i zmarł dwadzieścia sześć lat później.

Kiedy młody student prawa, Waclaw Pawlas, przyjechał z Breslau na pogrzeb swojego ojca, rodzina przekazała mu spory kuferek z korespondencją i papierami ojca. Waclaw przejrzał całość bez większego zainteresowania – ot, interesy, wojsko, urzędowe sprawy, o wszystkim wiedział już z opowiadań. Jednak dno kuferka był podwójne, co łatwo wykrył. W skrytce znalazł przewiązany wstążką pakiet listów, oraz złożony na dwoje list od swego ojca, zaadresowany „Waclaw Pawlas, do odczytania po mojej śmierci”. Młody Pawlas dowiedział się, że zmarła przed dwoma laty Eliza Pawlas nie była jego matką. Odwiedził miejsce, w którym, jak twierdził ojcowski list, powinna leżeć jego prawdziwa rodzicielka, jednak pod cmentarnym płótnem nie było już żadnego śladu mogiły. W pakiecie znajdowało się parę zachowanych listów jego matki, między innymi oba jej listy pożegnalne. Ojciec zachował wszystkie pamiątki po swojej pierwszej żonie.

Waclaw był romantykiem, zaczytywał się w Schillerze i Goethem, a styl matczyńskich listów był tak wzruszający, że młody student postanowił odtworzyć tę dramatyczną historię.

Wyruszył do Wiednia, poświęcając na tę wyprawę część odziedziczonych pieniędzy. W Olmiitz znalazł grób Maurycego de Czarniecki. Położył na nim różę, w myślach poświęcając ją matce.

W Wiedniu odnalazł drukarnię, o której pisała matka w jednym ze swoich listów – firma nazywała się teraz „Cesarska i Królewska Drukarnia Rządowa”. Od młodego zecera zakupił kilka pamiątek po Janie von Ratschek, którego pamiętało jeszcze kilku starszych pracowników. Skierowali oni ciekawskiego młodzieńca do starego Żyda, Samuela, który w roku 1805 przyjął nazwisko Fitzelberg. Starzec, który znał dokładnie koleje losu Jana, Anny i Maurycego, opowiedział młodzieńcowi całą historię. Waclaw skrzętnie notował. Wyjechał z Wiednia następnego dnia i wrócił do Wrocławia. Jednak zbyt był poruszony dziejami swojej matki, by odłożyć tę historię do szuflady i po dziesięciu miesiącach miał gotowy rękopis powieści, zatytułowanej „Anna”. W jednej z wrocławskich oficyn wydano mu, po starej znajomości (syn drukarza studiował z Waclawem) pierwszą, próbną edycję.

Powieść przez kilka miesięcy leżała w księgarniach, by, po pozytywnej recenzji znanego krytyka, stać się nagle najbardziej poczytną powieścią roku. Szybko wznowiono i w ciągu czterech lat ukazały się trzy wydania. Przetłumaczono ją na francuski i uznanie znalazła nawet w na dworze Ludwika XVII.

Po kilku latach wśród literackiej socjety minęło zainteresowanie „Anną”, zwłaszcza że Vatzlav Pawlas nie napisał już nic więcej. Jednak powieść ciągle wznawiano, gdyż młode dziewczęta, zarówno w Niemczech, Austrii i Francji zaczytywały się „Anną”, aż do

pierwszych lat dwudziestego wieku, często przedkładając ją nawet ponad „Jane Eyre” Charlotty Brontë.